



*Kacper Leśniewicz
Anna Radiukiewicz*



Biografie Rakowca





Korekta: Magdalena Kopacz

Grafika i skład: Monika Michalczevska

Licencja: Creative Commons Uznanie Autorstwa 4.0

Publikacja powstała w ramach projektu **„Biografie Rakowca”**
zrealizowanego przez **Fundację Wiedza Lokalna.**

Dofinansowano ze środków MHP
w ramach Programu **„Patriotyzm Jutra”**





SPIS TREŚCI

	Wprowadzenie	4
	Nowi mieszkańcy Rakowca	6
	Osiedle w budowie	9
	Ślady przeszłości	11
	Mieszkania	13
	Życie sąsiedzkie	17
	Sklepy	23
	Przychodnie	26
	Komunikacja publiczna	27
	Kawiarnie, restauracje	28
	Kościół	29
	Parki	33

WPROWADZENIE

■ Rakowiec to osiedle na warszawskiej Ochocie. Jego granice wyznacza od wschodu ulica Żwirki i Wigury, a od zachodu ulica Grójcka. Ulica Banacha to północne obrzeża osiedla, południe wyznacza radomska linia kolejowa. Początki tej części Ochoty sięgają okresu przedwojennego, kiedy powstały tu pierwsze bloki wybudowane przez Warszawską Spółdzielnię Mieszkaniową. Jednak główny okres rozbudowy osiedla przypadł na lata 60. i 70. XX wieku. Kolejne fragmenty obszaru dzisiejszego Rakowca stopniowo traciły swój podmiejski czy wiejski charakter na rzecz miejskiego, który nadały mu nowoczesne, budowane z cegły, a następnie z bloków i płyt domy wielorodzinne. Rozbudowano wówczas również niezbędną infrastrukturę. Poza sklepami powstały m.in.: szkoły i przedszkola. W tym czasie oddano do użytku również Centralny Szpital Kliniczny przy ul. Banacha, a w późniejszych latach powiększono rozciągający się w kierunku ul. Trojdena kampus Ochota, w którym znajduje się wiele instytucji naukowych i akademickich.

Historia Rakowca, w tym szczególnych miejsc, jak parki czy Fort Szcza-M, oraz budowli, wymieniąwszy chociażby bloki przy ul. Sanockiej zaprojektowane przez Hansenów, była i jest przedmiotem zainteresowania dziennikarzy, badaczy, a także po prostu miłośników osiedla. Historia

przez nich opisywana to zazwyczaj opowieść o kluczowych zmianach i inwestycjach, o doniosłych wydarzeniach oraz wybitnych jednostkach tworzących to miejsce i tutaj działających. Prezentowana publikacja „Biografie Rakowca”, chociaż poświęcona jego przeszłości, stanowi jednak rezultat zastosowania innego podejścia do odtwarzania czasów minionych. W przyjętej przez autorów perspektywie – inspirowanej metodą historii mówionej (ang. *oral history*) – najbardziej interesujące wątki dziejów Rakowca kryją się bowiem we wspomnieniach jego wieloletnich mieszkańców. W takim przypadku odtwarzanie przeszłości polega zatem na gromadzeniu opowieści osób – świadków bądź uczestników wydarzeń historycznych, którzy podczas wywiadów dzielą się osobistymi przeżyciami. Pozwala to na skupienie się nie tyle na znaczących wydarzeniach i znanych ludziach, co na doświadczeniach „zwykłego” człowieka i jego punkcie widzenia. Z tego powodu na przeszłość spogląda się tu z wielu nieraz bardzo odmiennych perspektyw. Historia mówiona to nie dążenie do ustalenia jednej wersji przeszłości, przeciwnie – pokazuje różnorodność ludzkich doświadczeń.

Tematem publikacji jest sam Rakowiec – jego obraz, który zachował się we wspomnieniach naszych rozmówców, osób, które znają go już od

40, a nawet 50 lat. Zatem przewodnikami po osiedlu byli świadkowie jego historii. Podczas wywiadów staraliśmy się wraz z mieszkańcami odtworzyć ich najwcześniejsze wspomnienia na temat Rakowca. Zgromadzone opowieści dotyczą przede wszystkim zapamiętanego obrazu osiedla z lat 70. i 80. XX wieku. W trakcie wywiadów rozmawialiśmy o mieszkaniach – ich wyposażeniu i urządzeniu, a także o domach mieszkalnych i ich otoczeniu. Interesowało nas, gdzie mieszkańcy robili zakupy, a gdzie spędzali czas wolny. Staraliśmy się ustalić, które z miejsc na Rakowcu zapadło im najbardziej w pamięć i dlaczego. Równie ważny wątek naszych rozmów stanowiło życie sąsiedzkie. Dzięki temu mogliśmy dowiedzieć się o relacjach panujących na osiedlu. Ze względu na okres, którego dotyczą zebrane opowieści, a więc czas PRL-u, wiele ze wspomnień pozwala na lepsze zrozumienie nie tylko życia na Rakowcu, ale też codzienności w innym niż

dzisiejszy ustroju. Stanowi to ważny i interesujący kontekst opowiedzianej nam historii.

Jednak przede wszystkim każda odbyta rozmowa była dla nas pasjonującym spotkaniem z człowiekiem, a jej wysłuchanie i utrwalenie – mamy nadzieję – pozwoliło ochronić od zapomnienia choć cząstkę pamięci. Z tego powodu dziękujemy za wsparcie osobom, które pomogły nam podczas gromadzenia materiałów, a szczególnie naszym rozmówczyniom i rozmówcom. Specjalne podziękowania kierujemy do członkiń i członków Klubu Seniora z Domu Kultury Rakowiec. Mamy nadzieję, że zarówno dla nich wszystkich, jak i dla pozostałych mieszkańców Rakowca publikacja okaże się lekturą interesującą i zachęcającą do dalszego wspólnego snucia wspomnień o naszym osiedlu.

Autorzy – sąsiedzi z Rakowca

NOWI MIESZKAŃCY RAKOWCA

■ Aby stać się mieszkańcem Rakowca, w pierwszej kolejności – jak w przypadku większości osiedli w okresie PRL-u – należało zapisać się do spółdzielni. W przyznawaniu mieszkań pośredniczyły też zakłady pracy. W ten sposób na Rakowiec trafiła pani Danuta, mieszkanka ulicy Baleya: „Ja dostałam to mieszkanie ze służby zdrowia, w której pracowałam. Kiedyś takie rzeczy załatwiano się przez instytucje. W tym bloku mieszkali też inni pracownicy służby zdrowia”. Podobnie było w przypadku wielu osób spośród naszych rozmówców.



Parking przy przedszkolu na ul. Grzeszczyka 2, w tle park „Górki”, około 1973 r.

Pani Teresa, także z ul. Baleya: „W bloku obok, dokładnie w ostatniej klatce mieszkali piloci. Ja też dostałam to mieszkanie od LOT-u, w którym pracowałam”.

Mieszkanca Rakowca z ul. Dickensa: „Mąż dostał to mieszkanie z pracy. Były lata 70. Wcześniej mieszkaliśmy na Muranowie, gdzie mieliśmy pokój z kuchnią. Tutaj dostaliśmy trzy pokoiki. Metrażowo to nie było o wiele więcej, ale to były trzy pokoje, a nie jeden. Blok był nowy. Byliśmy jednymi z pierwszych lokatorów. Wprowadziliśmy się w listopadzie. Pozostali lokatorzy zaczęli się sprowadzać dopiero po Nowym Roku. To byli ludzie z całej Warszawy, ale były też osoby spoza miasta”.

Jednak otrzymanie mieszkania na Rakowcu nie zawsze było łatwe, o czym wspomina pani Katarzyna z ul. Grzeszczyka, pracowniczka Ośrodka Kultury Ochoty: „Mama ciągle walczyła z pluskwami, więc nienawidziła naszego poprzedniego mieszkania. My tam mieliśmy dwa pokoje. Już nie mogli jej w tym biurze zajmującym się sprawami mieszkaniowymi ścierpieć i w drodze wyjątku, mimo że byliśmy cywilami, przyznali nam mieszkanie w tym bloku. Generalnie to był blok milicyjny, pracowników MSW, oprócz tego część mieszkań należało do tzw. PUMY, która zajmowała się wynajmem miesz-

kań dla cudzoziemców. Z tego powodu mieszkało w tym naszym bloku dużo dyplomatów z rodzinami: Bułgarzy, Rosjanie. Pamiętam Czecha, który przywiózł mojemu tacie akumulator do skody – bo wtedy mieliśmy taki samochód, a akumulator trudno było kupić”.

W latach 60. i 70. XX wieku na osiedlu wciąż trwała budowa nowych bloków. Mieszkańcy na bieżąco śledzili zmiany krajobrazu. Znikwały pola i liczne w tej części miasta ogródki, o czym wspomina pan inżynier z ul. Trojdena: „Tutaj na Rakowcu właściwie mieszkali badylarze. To wszystko to były ogródki. Nie było tych domów.



Widok na przyszłą ul. Księcia Trojdena, 1964 r.



Blok przy ul. Księcia Trojdena, 1961 r.

Dopiero je budowano. Na początku lat 60. było jeszcze tutaj głucho”. Na miejscu działek powstawały kolejne budynki. Nie wszyscy byli zadowoleni z postępujących prac, ale również fakt, że Rakowiec był placem budowy stanowiło uciążliwość dla mieszkańców.

Pani Danuta z ul. Baleya: „Pamiętam, jak na zebraniu spółdzielni poinformowano nas o tym, że budują nowe bloki. Były sprzeciwy, część osób obawiała się tego, że będzie nam za ciasno, że nie będzie przeciągów, ale wtedy różne głupstwa ludzie opowiadali”.

Pani Irena z ul. Baleya: „Przeprowadziłam się na Rakowiec we wrześniu 1970 roku. Mieszkanie przydzielono nam już kilka miesięcy wcześniej. Przed przeprowadzką przychodziliśmy i sprzątaaliśmy je. Człowiek był przerażony, bo to była budowa, więc to było coś potwornego. Nie można było przejść, bo można było się utopić”.

Prace przy budowie nowych bloków przebiegały w różnym tempie. Wiele zależało od materiału i tego, czy jest go wystarczająco dużo. W razie problemów przydawały się też znajomości. Jednej budowie przyglądał się z bliska pan inżynier z ul. Trojdena, który – jak opowiada – przyczynił się do szybszego ukończenia jednego z bloków: „Jak się tutaj sprowadzałem to budowali ten dom naprzeciwko, ale nagle wszystko stanęło. To budowała spółdzielnia. Był w stanie surowym. Miał jeszcze trochę nieotynkowanych ścian. Okazało się, że wykonawca stał, bo brakowało tarcicy. Tak się złożyło, że zaczęłam wtedy pracę w Ministerstwie Leśnictwa na Wawelskiej. Jako inspektorowi nadleśnictwa podlegały mi różne biura

zbytu drewna i składy handlowe. Spółdzielnia się do mnie zwróciła, czy mógłbym pomóc. Trzeba było robić szalunki, zbroić i betonować wszystko. Żeby zabetonować szalunki potrzebne było drzewo. Powiedziałem, że dam wam tarcicę, którą odbierzecie na Żeraniu”.

Na Rakowcu, a dokładnie przy ulicy Pruszkowskiej, nad pozostałymi budynkami góruje dziesięciopiętrowy biurowiec. Również w jego budowę zaangażowany był inżynier z ul. Trojdena

i przez jakiś czas mieściło się tam jego biuro: „Do tego wysokiego wieżowca przeniosta się spółdzielnia mieszkaniowa »Ochota«. Pamiętam jak dziś, 6 piętro to była dyrekcja biura projektów, 7 i 8 piętro – pracownie projektowe, na 9 piętrze zespoły kosztorysowe, to ja tutaj siedziałem, i na 10 piętrze maszynownia. Kiedy się wprowadziłem ponad 30 lat temu, to Pruszkowska była pustą ulicą. Nasz zespół ją budował. Ten wieżowiec też my budowaliśmy. Kiedyś to było coś pięknego”.

OSIEDLE W BUDOWIE

■ Jak wspominają mieszkańcy, Rakowiec w latach 70. minionego wieku w wielu miejscach wyglądał wciąż jak plac budowy. Na tle dominującej piaszczystej przestrzeni, wyróżniały się wyrastające z ziemi pierwsze piętra bloków i sterty śmieci.

Pani Katarzyna z ul. Grzeszczyka: „Dla dziecka wyglądało to przerażająco – miałam wtedy osiem lat. Przeprowadziliśmy się z zagospodarowanego Muranowa. Gdy przyjechałam tutaj pierwszy raz z mamą autobusem, to była dla mnie wieś i koniec świata. Totalne pustkowie. Stał nasz blok, za nim wieżowiec, kolejny wyrastał z ziemi, a dookoła było jedno wielkie błoto. Breja. Dosłownie zapadałyśmy się w nim po kolana. Przy Korotyńskiego mama owijała nam buty gazetami i przechodziłyśmy w tych gazetach po tej brei do naszego bloku”.

W wielu miejscach brakowało chodników. Tam, gdzie ich nie było, jakość podłoża zależała od pór roku. Najwięcej utrudnień było zimą.

Pani Anna z ul. Jankowskiej: „To był mój początek na Rakowcu. Była zima. Jak się tutaj sprowadziłam, to była jedna wielka błotnista powierzchnia. Nic nie było uregulowane. Nie było chodnika. Nierówne podłoże nie przypominało go nawet latem. Ulicy nie było. Potem pojawiały

się chodniki. Takie z betonowych płytek. Pamiętam, że jak doszłam do Żwirki i Wigury to całe buty miałam w glinie. Dlatego nosiłam ze sobą drugie na zmianę”.

Pani Inka z ul. Sanockiej: „Jak się sprowadziliśmy na Rakowiec, to nawet w upał zakładałam kalosze do szkoły, bo inaczej nie można było przejść.



Blok przy ul. Racławickiej 152 i przejście „na skrót” w stronę sklepu spożywczego, który był na rogu, początek lat 70-tych XX w.



Podwórko w okolicy ul. Grzeszczyka, w tle blok przy ul. Bohdanowicza, połowa lat 70-tych XX w.

Zamiast chodników były ułożone deski, po których się chodziło”.

Najlepiej w takim otoczeniu czuły się dzieci, które na placach budowy, wśród łąk i starych działek stworzyły sobie plac zabaw.



Blok przy ul. Raławickiej 150, połowa lat 70-tych XX w.

Mieszkanca Rakowca z ul. Mołdawskiej: „Pamiętam wykopy pod blokiem i zabawy w chowanego, berka w tych wykopach. Być może to były wykopy pod jakiś kolejny blok, niemniej to było bardzo fajne i bardzo nam – jako dzieciom – nie podobało się, jak zakopano te doły”.

ŚLADY PRZESZŁOŚCI

Młody wiek osiedla sprawiał, że wyraźnie odznaczały się na nim niezabudowane jeszcze nowoczesną architekturą ślady przeszłości. Skojarzenia ze światem minionym budziły przykładowo hodowane w pobliskich stodołach i oborach zwierzęta gospodarskie, o czym wspomina pani Anna z ul. Jankowskiej: „Zaraz tutaj przy torach były krowy, kozy i inne zwierzęta. Normalne gospodarstwa. Dzisiaj są



Blok przy ul. Raclawickiej 156, połowa lat 70-tych XX w.

tam jeszcze ogródki i stoją domy z tamtych czasów. Patrzyliśmy na to wszystko ze zdziwieniem. Z jednej strony wioska, a z drugiej my tutaj przecież mieszkaliśmy w mieście”.

Miejski, szary krajobraz Rakowca był poprzeciany odcieniami zieleni. Ich intensywność zależała od tego, czy w danym roku był urodzaj. Kalafior, kapusta czy jabłka rosły w różnych miejscach osiedla. Można było odnieść wrażenie, że jest to miejsce pogodzone z naturą, choć przez to także w jakimś sensie dzikie.

Mieszkaniec Rakowca z ul. Mołdawskiej: „Proszę sobie wyobrazić, że po drugiej stronie drogi rosła dorodna kapusta. Tu było jedno bagno – coś jak glina. Pamiętam głębokie koleiny. Widziałem jak jeden mężczyzna, przechodząc, poślizgnął się i upadł. W pamięci do dzisiaj mam jego wpadające w kałużę okulary”.

Pan Sławomir z ul. Pruszkowskiej: „Tutaj, na Pruszkowskiej aż do Raclawickiej rosła kapusta. Dobrze pamiętam też te lipy, które rosną od ulicy Żwirki i Wigury, a które były w latach 60. sadzone, mając spore rozmiary. Przyjeżdżały ciężarówki z takimi olbrzymimi kosztami stalowymi. Wykopywali doły i wsadzali te wysokie, nowe lipy. Pamiętam też, że było trochę starszych drzew przy chałupkach, tam niedaleko fortów”.

Pani Inka z ul. Sanockiej: „Kiedy byłam jeszcze w przedszkolu, miałam przyjaciółkę, która przeprowadziła się na Rakowiec i zamieszkała w którymś z domów stojących wzdłuż ulicy Żwirki i Wigury. To był pierwszy raz, kiedy byłam na Rakowcu. Byliśmy na spacerze w parku przy Cmentarzu Mauzoleum Żołnierzy Radzieckich, gdzie dopiero drzewa posadzili. Żwirki i Wigury była wtedy jednopasmowa. Z kolei tu, gdzie jest Uniwersytet Medyczny i szpital, bardzo długo były zagony kapusty. W okolicach obecnej ulicy Baley w tamtym czasie były piękne działki. Jak je zaczęli likwidować, chodziliśmy tam z mamą i zbieraliśmy owoce i kwiaty. Do dziś rośnie tam jeszcze trochę drzew owocowych”.

Jedno z tych drzew owocowych, o których wspomina pani Inka, zapadło w pamięci pani Teresie z ul. Baley: „Pamiętam taką dorodną jabłoń z dużą gałęzią, która pochylała się do ziemi od ciężaru jabłek”.

Z tamtego okresu zostało też wspomnienie spokoju i ciszy, jakie panowały na osiedlu, o czym opowiada m.in. pani Alicja, nauczycielka z Rakowca: „Jak się tu wprowadzałam, było bardziej dziko i naturalnie. Kiedy ktoś do mnie przyjeżdżał, to nie mógł się nadziwić, że jest tutaj tak cicho”.

Podobnie tamte czasy na Rakowcu pamięta pani Irena z ul. Baley: „W latach 70. na Baley było cichutko. Mało było samochodów – tyle że czasem dostawcze przejechały do pawilonów na końcu. Tam był sklep spożywczy i mięsny”.

Poza przyrodą o przeszłości Rakowca przypominały stare zabudowania czy bruk na ulicach. Wśród mieszkańców są tacy, którzy wspominają czworaki. Częściowo zajęte były przez admini-

strację, ale mieszkały w nich także rodziny. Inni opowiadają o zapamiętanym odgłosie końskich kopyt na bruku.

Pan Sławomir z ul. Pruszkowskiej: „Nad stawem były czworaki, które należały do Administracji Gospodarstw Rolnych i Leśnych. To był taki pałacyk, do którego wjazd był od ulicy Trojdena. Jak dzisiaj się idzie ulicą Sanocką, to najpierw jest żłobek i zaraz za żłobkiem był tamten czworak. Drugi był mniej więcej tam, gdzie na górze jest kapliczka. Mieszkali tam pracownicy AGRIL-u. Czworaki stały do lat 60., ale to wiem z opowiadań rodzinnych”.

Pani Inka z ul. Sanockiej: „Ulica Korotyńskiego była zabudowana z jednej strony. Po drugiej były tylko dzikie Górki i chałupy ze studniami i żurawiem oraz jakieś warsztaty samochodowe. Pamiętam jak na Sanockiej stał czworak. Mama walczyła, żeby go uratować. Dalej, tam gdzie są biura spółdzielni, były działki. Podejrzewam, że to były przedwojenne działki, bo na planach przedwojennych te bloki mają działki. Jeszcze resztkę tych działek zachowała się do przełomu lat 80. i 90., kiedy postawiono dwa budynki za biurami naszej spółdzielni”.

Mieszkaniec Rakowca z ul. Mołdawskiej: „Najpierw mieszkaliśmy przy ulicy Dickensa, dlatego dobrze pamiętam, że w stronę Okęcia był tylko jeden tor tramwajowy i były zatoczki, gdzie tramwaj zatrzymywał się i przepuszczał tego z naprzeciwka. Takie mijanki. Grójecka była brukowana. Mieszkałem na piątym piętrze to słyszałem, jak coś jedzie. Na bazar na Banacha przyjeżdżali wtedy chłopcy, wozacy, przywozili ziemniaki i inne rzeczy. Żwirki i Wigury też miała wtedy kocie łby”.

MIESZKANIA

■ Dzięki swojej pomysłowości mieszkańcy radzili sobie z opisanymi niedogodnościami w okresie powstawania Rakowca. Uwagę pochtaniało głównie nowe mieszkanie, z którego byli na ogół bardzo zadowoleni. Rakowiec dla wielu jego mieszkańców stanowił bowiem symbol nowego świata. Wstęp do niego zaczynał się już na progu mieszkania. Często świeżo oddane, zapewniało wygodę i komfort – szczególnie w porównaniu poprzednim, w którym nieraz brakowało łazienki, oddzielnej kuchni czy kilku metrów prywatności. Jak wspomina pani Danuta: „Wprowadziłam się do tego bloku w 1969 roku. Czekałam 13 lat na to mieszkanie. W administracji spółdzielni usłyszałam, że jestem pierwszą lokatorką. Pamiętam, że te wszystkie mieszkania były puste. To nowe bardzo się różniło od poprzedniego, w którym mieszkałam z rodzicami. Nie będzie przesadą, jeśli powiem,



Bloki na skrzyżowaniu ulic Księcia Trojdena i Żwirki i Wigury, 1964 r.

że w tamtych czasach było luksusowe. Po pierwsze miałam łazienkę, ale też własną kuchnię. Była mała, ciemna, ale własna. Ucieszyłam się bardzo, gdy zobaczyłam, że mam balkon”. Życie codzienne w nowym miejscu było wygodniejsze z wielu powodów – dzisiaj w większości nieaktualnych. Wtedy duże znaczenie miał samodzielny pokój i centralne ogrzewanie. „Był początek lat 70. Przeprowadziłam się z Rzeszowa do Warszawy. Poprzednie lata spędziłam w drewnianej chałupie bez wygód. Marzyły mi się komforty, jak to nazywałyśmy wtedy z moją siostrą. Nie ukrywam, że zamieszkanie na Rakowcu było dla mnie dużym awansem. Byłam zadowolona, bo miałam dostęp do ciepłej wody, nie musiałam rąbać drewna i rozpalać ognia w piecu. Nie dymiło mi się, bo ciepło dawały kaloryfery. Wracając późnym wieczorem zimą, wchodziłam do ciepłego mieszkania” opowiada pani Alicja.

Funkcjonalna przestrzeń mieszkania, po swojemu umeblowane pokoje czy wspomniany dostęp do bieżącej wody występują we wspomnieniach mieszkańców jako kolejne ułatwienia, które pomagały wygodniej żyć. Skalę zmiany oddaje stosowane w wywiadach porównanie nowych warunków mieszkaniowych z „pałacem” i „nowoczesnością”. Tak też wspomina swoje mieszkanie pani Katarzyna, mieszkanka Rakowca od 1971 roku: „Nasze mieszkanie, jak na lata 70.,

to był pałac. Wszyscy nam go zazdrościli. Proszę sobie wyobrazić cztery nieprześciowe pokoje i łazienkę z wielkim oknem". „Mieszkałam na Solcu od 1932 roku. To było marne mieszkanie: na parterze, w starym przedwojennym budynku. Po wodę człowiek biegł przez całe podwórze do drugiego budynku. Gdy się tutaj wprowadziłam, to wydawało mi się, że trafiłam do pałacu. Normalna kamienica, dwa pokoje z kuchnią. Jakbym się do nieba dostała albo jakbym się dopiero narodziła" – wspomina mieszkanka Rakowca z ulicy Korotyńskiego.

Zdarzało się, że metry dosłownie przyprawiały o zawrót głowy nowych lokatorów. Jak wspomina pani Anna z ul. Jankowskiej: „Zanim się tutaj przeprowadziłam, mieszkałam z rodzicami na Grzybowskiej. Mieliśmy bardzo małe mieszkanie. W zburzonym domu własnymi rękami rodzice zbudowali malutką kłitkę z cegły. Pamiętam jak dziś, wchodzę, rozglądam się i nie mogę się nadziwić. Nowe mieszkanie wydawało mi się takie ogromne. Pierwsze co wpadło mi do głowy, to pomysł, że mogę jeździć tutaj rowerem". Większa przestrzeń była szczególnie ważna, gdy w poprzednich mieszkaniach dla powiększającej się rodziny brakowało miejsca – opowiada pani Katarzyna: „Wcześniej mieszkaliśmy na Saskiej Kępie. Kiedy urodziło nam się drugie dziecko mieszkanie zrobiło się bardzo małe. Jeden pokój z wysokim oknem i drugi malutki tylko do spania. Przedpokój był maleńki 70 cm na 70 cm. Jak wchodziło dwoje ludzi, to jedna osoba musiała zostać w kuchni. Wtedy zamieniliśmy się między spółdzielniami. Na Rakowcu mamy cztery pokoje i ogród za oknem". Pewne wyobrażenie o możli-

wościach, które dawało kilkupokojowe mieszkanie daje natomiast opowieść pani Katarzyny z ul. Grzeszczyka: „My tu mieszkaliśmy w trzy pokolenia. W jednym pokoju mieszkali moi dziadkowie. Nie wiem, jak się pomieściły te wszystkie meble: tapczan wielki, dwuosobowy, komoda stara, z oszkloną górą, amerykanka, która ważyła prawie 200 kg, duży stół, stolik z telewizorem i szafa. W międzyczasie mieszkała tu też moja starsza siostra z mężem i dzieckiem – więc były cztery pokolenia przy jednej łazience, toalecie i małej kuchni". Z kolei możliwość wyposażenia wnętrza według własnego gustu i potrzeb stanowiła granicę, po której przekroczeniu lokatorzy wkraczali w nowoczesność: „W mieszkaniach naszych rodziców były charakterystyczne kredensy, kryształ, kapy, a tutaj wkraczała nowoczesność. Regały i ich prostota – myśmy tego pragnęli, żeby już nie być w tych starociach. Myśmy chcieli być nowocześni" – mówi pani Anna.

Radość z własnego mieszkania zdawała się nieraz rekompensować pewne niedoskonałości nowych domów, chociaż mieszkańcy opowiadają i o niedoróbkach:

Pani Irena z ul. Baleya: „Zaraz po przeprowadzce myłam okno i żeby nie mąż, to już by mnie nie było. Zamalowana farbą rama nie była w ogóle przymocowana. Niewiele brakowało i bym wypadła".

Podobną sytuację pamięta pani Anna z ul. Jankowskiej, chociaż nie dotyczyła ona jej osobiście, a koleżanki mieszkającej w pobliżu parku im. Zastawa Malickiego. Na szczęście i w tej historii nikt nie ucierpiał: „Dowiedzia-

tam się o tym od koleżanki, która w latach 60. zamieszkała w okolicy parku Malickiego. Mieszkanie na trzecim piętrze, więc cudowny widok na stawik. Mieli też balkon, ale jak się wprowadzili, kazano im podpisać dokument, że nie będą wychodzić, bo to grozi śmiercią lub kalectwem – znaczy, że może się zarwać. Ona się wyprowadziła po 10 latach, ale w tym czasie nikt nigdy nie przyszedł naprawić tego balkonu i nikt nigdy nie cofnął tego zakazu”.

Innym problemem w nowych blokach były powtarzające się, szczególnie zimą, przerwy w dostawie wody.

Jak wspomina mieszkanka Rakowca z ul. Mołdawskiej: „Zimą cyklicznie raz na dwa tygodnie wyłączano wodę. To było straszne, bo człowiek musiał ją grzać w garnkach. Jak wybuchł stan wojenny, to nie było ani ciepłej wody, ani ogrzewania. Pamiętam jak dziś, że wszyscy w jednym pokoju spaliśmy z rodzicami. Przenieśliśmy łóżka, włączyliśmy jakiś mały elektryczny kaloryfer i było ciepłej”.

W niektórych blokach wody brakowało też w określone dni tygodnia, o czym opowiada pani Irena z ul. Baley: „Jak zbliżała się niedziela, to u mnie w piątek już się zaczynały problemy z wodą. Puszczali wtedy w piwnicy i stamtąd można było wziąć wodę do wiadra – dokładnie to z pralni. W piwnicy były wtedy pralnie i suszarnie. Jak człowiek zdobył klucz to miał i wodę. Było jeszcze jedno wyjście. Na rogu Racławickiej i Mołdawskiej były jeszcze prywatne domki – trzy chałupki – tam był hydrant i tam też można się było zaopatrzyć w wodę”.



Parking przy obecnym Carrefour na ul. Sierpińskiego, w tle blok przy ul. Grzeszczyka 6, połowa lat 70-tych XX w.

Mimo tych niedogodności pierwsze lata spędzone w nowym miejscu to okres, kiedy lokatorzy oswiają nową przestrzeń, ale też dokonują pierwszych większych zmian. Kupują meble, zmieniają podłogę, kolor ścian. Niektórzy ingerują w architekturę mieszkania. Przykładem mogą być nowe okna. Jak wspomina pani Anna z ul. Jankowskiej: „Budowa tego okna to była fundamentalna zmiana w naszym mieszkaniu. Kuchnia była bardzo ciemna. Była ścianka i szyba, którą można było odsunąć i podać herbatę. To było zastonięte matami słomianymi, które wtedy były modne. Wyrzuciłam je. Kuchnia jednak pozostała ciemna. Nie znosiłam tego. Mój mąż się uparł na to okno. Mieszkanie jest na szczytowej ścianie. Wielkość okien musiała zatem uwzględniać nośność ściany. Czuwał nad tym inżynier budowy. Mam jeszcze szczegółowy projekt. Zrobiliśmy to

jako lokatorzy na własny koszt. Wynajęliśmy firmę, która wykonywała prace na osiedlu. Wytłukli nam dziurę, pamiętam jak ziemia drżała. Sami jednak wychodziliśmy sprawę w spółdzielni, zabiegaliśmy o to, prosiliśmy, aż w końcu się udało”.

Gdy zachodziła taka konieczność, nowi lokatorzy starali się dopasować przestrzeń mieszkania do swoich potrzeb.

Tak było w przypadku pana inżyniera z ul. Trojdena: „Ja w swoim mieszkaniu zmieniałem tylko tę ścianę. Lekko ją przesunąłem w stronę korytarza, który był za duży. Nie mogłem przez nią wstawić łóżka we wnękę. Pamiętam, że położyłem glazurę, szafki sam porobiłem i w każdym pokoju posadzkę zmieniłem”.

Podobnie przebudowy mieszkania dokonała rodzina mieszkanki Rakowca z ul. Mołdawskiej: „Bardzo lubiłam mieszkanie, w którym mieszkaliśmy razem z rodzicami. Pamiętam, że kiedy byłam mała, lubiłam mieć otwarte drzwi do pokoju rodziców, żeby móc do nich w razie czego przybiec. Z kolei kiedy byłam już trochę starsza, to zaczęłam zazdrościć bratu, że jego pokój ma niezależne wejście, bo do tego mojego przechodziło się przez pokój rodziców. Jakoś tak się złożyło, że udało mi się z nim zamienić. Później, jak się wyprowadziłam, a brat się ożenił, to mieszkanie zostało dostosowane do potrzeb dwóch rodzin. Rodzice wyburzyli część ściany i podzielili mieszkanie na dwie części. W tej chwili jest takie, że można chodzić dookoła”.

Natomiast wyposażenie mieszkania było procesem rozłożonym w czasie. Kupno nowych

mebli w okresie, który wspominają mieszkańcy, rzadko możliwe było od ręki. A jeśli się udało, to trzeba było coś zrobić ze starymi. Dla pani Teresy trudnością okazał się brak miejsca, jak opowiada: „Kiedy przywieźliśmy nowe meble, powiedziałam do męża, że będę tutaj pod kocem nocować, żeby tego tylko nie ukradli. Nie mieliśmy miejsca, żeby je wnieść”.

Proces wyposażania mieszkania bardzo dobrze pamięta pani Anna z ul. Jankowskiej: „Kolejno kupowaliśmy – najpierw kuchnię, chyba na Nowolipkach był sklep. Meble były jednakowe, szafki takie z szaro-zielonkawym laminatem. Później płytki PCV były kładzione. Czekano się aż je dostarczy wytwórnia. Były szare, niebieskie i pomarańczowe. Moja koleżanka miała pomarańczowe. Gołe, niczym nienakryte. Wyglądało to okropnie. Dużo osób miało niebieskie, takie chabrowe. Ale już w tamtym bloku zabrakło tych płytek, więc była mozaika na klej. Całe arkusze. Pamiętam, że chciałam przykryć czymś tę podłogę. Nie przepadałam za dywanami, ale kupiliśmy taki dywan trzy metry na cztery. Zakrywał prawie całą podłogę. Potem zmieniliśmy baterię w łazience. Nad umywalką była jedna. Jak człowiek chciał się wykąpać w wannie, to przekręcał tę z nad zlewu do wanny. Mąż kupił taką bułgarską”. W mieszkaniu pełnym książek pilną potrzebą był też regał: „Półki z książkami są z nami chyba od samego początku. Czekaliśmy na nie kilka miesięcy. To są półki cepeliowskie z prawdziwego drzewa. Proszę zobaczyć, jakie to są dechy. Tyle lat już służą i cały czas to jest dobre i ładne. Jestem z nich bardzo zadowolona. Kupiliśmy je zaraz po naszym wprowadzeniu w magazynie na Woli. Mąż tam pracował i wpadły mu w oko”.

ŻYCIE SĄSIEDZKIE

Rakowiec to nie tylko bryły nowych budynków, błotnista breja i zajmujące dużą przestrzeń tereny zielone. Nie mniej istotna wydaje się tkanka społeczna. Ważne miejsce we wspomnieniach mieszkańców zajmują ludzie i ich wzajemne relacje.

Pani Inka z ul. Sanockiej: „Z sąsiadami z naprzeciwka byliśmy zaprzyjaźnieni i jak trzeba było sobie pomóc, to żeśmy sobie pomagali. Wokół instytutu, gdzie ojciec pracował był ogród i zawsze wiosną rosły bzy i ojciec zawsze przywoził trzy naręcza bzu. Jeden do domu, a dwa wręczało się paniom sąsiadkom. Później te przyjacielskie więzy zacieśniły się jeszcze bardziej, bo na ul. Korotyńskiego – tam, gdzie mieszkali rodzice – zrobił się tzw. statek wdów. Mężowie poumierali, a kobiety były dla siebie jak siostry, aczkolwiek, jak były imieniny mojej mamy i przychodziła rodzina, znajomi i bliscy, to panie przychodziły w innym terminie. Powtarzały tylko: »Na herbatkę to przyjdę do ciebie innego dnia, dzisiaj masz gości«”.

Życie sąsiedzkie było inne niż dzisiaj – mówią ci, którzy je pamiętają. Serdeczność, pomocność, bliskość, bezpieczeństwo to słowa klucze, które pomagają zrozumieć, dlaczego tak było. Czy wspólne spotkania przy kawie były sąsiedzkim rytuałem? Co mają wspólnego z przyjaź-

nią wiertarka i zepsuty telewizor. Jakie miejsce w tym świecie przypadło dzieciom?

Bywało, że znajomość z sąsiadem zaczynała się od metalowych karniszy. Jak wspomina pani Anna z ul. Jankowskiej: „Pamiętam taką scenkę, że sąsiad wracał z pracy i usłyszał, że coś u nas warczy. Zapukał, spojrzął i powiedział ucieszony: »Panie masz wiertarkę z udarem!«. Kolega

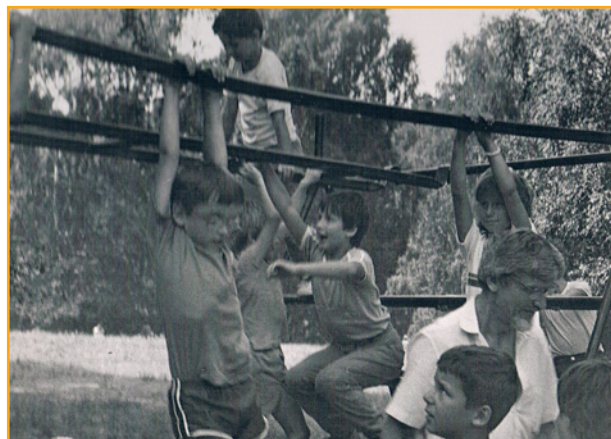


Przedszkole przy ul. Grzeszczyka 2, w tle blok przy ul. Bohdanowicza, połowa lat 70-tych XX w.

mojego męża, stojąc na taborecie, wkręcał kołki rozporowe pod metalowe karnisze. Jak skończył u nas, zaraz poszedł z wiertarką do naszego sąsiada. To były takie czasy, że zawsze można było zapukać i powiedzieć: »Panie Stasiu ma pan może śrubkę nr 5?«. Czasami lokatorzy musieli zapukać do kilku drzwi. Ale jeśli już ktoś otworzył, oznaczało to nową znajomość: *»W pewnym momencie zepsuł nam się telewizor. Mój mąż na to »No jak to tak bez telewizora. Nie będziemy oglądać telewizji?«*. *Zaczęliśmy dzwonić do sąsiadów z czwartego i piątego piętra. Nikt nie otwierał, aż w końcu otworzyła nam pani i miłym głosem powiedziała »proszę bardzo, zapraszam, u mnie telewizor gra«* – opowiada pani Teresa z ul. Baleya o swojej koleżance z bloku. Mieszkanka Rakowca z ul. Mołdawskiej natomiast wspomina o przyjaźni opartej na czterech kołach: *»Samochód parkowaliśmy pod naszym oknem, a nasz sąsiad z czwartego piętra, którego jeszcze nie znaleźliśmy parkował obok swoją syrenkę. Stawialiśmy obok siebie te samochody i tak się przy nich poznaliśmy. Mieliśmy dobry kontakt ze sobą»*.

Znajomość z sąsiadem, który mieszka na wyższym piętrze albo w bloku naprzeciwko często zaczynała się od dzieci. To, że razem się bawiły, chodziły do tej samej szkoły czy przedszkola był pretekstem do bliższego poznania. Jak wspomina pani Alicja: *»Ja jestem otwartą osobą, ale dopiero jak kogoś poznam. Jeśli kogoś nie znam, to trzymam dystans. Dlatego bardzo różne były o mnie opinie wśród sąsiadów. Zaprzyjaźniliśmy się ze sobą i to bardzo, ale dopiero jak się syn urodził. Gdy wychodziłam z wózkiem, wtedy każdy zajrzał do wózka i zaczynała się krótka po-*

gawędka. Trochę tak jak człowiek dzisiaj z psem wychodzi. Raz porozmawiałam z sąsiadem jednym, potem z drugim. Stwierdzili, że jestem całkiem do rzeczy (śmiech). Wtedy zaczęły się nasze przyjaźnie. Mieliśmy bardzo dobre relacje».



Lato w mieście organizowane przez Dom Społeczny „Rakowiec”, połowa lat 80-tych XX w.



Lato w mieście organizowane przez Dom Społeczny „Rakowiec”, połowa lat 80-tych XX w.

»Moi rodzice byli bardzo zaprzyjaźnieni z rodziną z pierwszego piętra. Pewnie to my – jako dzieci – ich połączyliśmy, bo oni też mieli swoje. To były bardzo bliskie relacje, bo pamiętam, jak pojechałam do szpitala razem z rodzicami odebrać dziewczynkę, która się urodziła. Była to córka sąsiadów. Pamiętam też jakieś wspólne chrzciny.

Moi rodzice do tej pory utrzymują z nimi kontakty, mimo że już nie mieszkają w tym bloku” opowiada mieszkanka Rakowca z ul. Mołdawskiej. Wspomina też, że przyjaźnie zawierali nie tylko rodzice, ale także dzieci i młodzież, która dorastała na Rakowcu. Do dziś te pierwsze przyjaźnie są ważne: „Jak dzisiaj wspominamy ze znajomymi życie na Rakowcu, to mówimy, że trochę jak na wsi funkcjonowaliśmy. Była taka grupa sąsiadów, jako dzieci odwiedzaliśmy się. U nas w bloku było dużo dzieci w podobnym wieku. Jesienią i zimą życie toczyło się na korytarzu. Była gra w piłkę, skakanie w gumę, berek – wszystko. I w ogóle to ludziom nie przeszkadzało, że biegaliśmy, hałasowaliśmy. Oczywiście odwiedzaliśmy się nawzajem, ale tak żeby spotkać się większą grupą, to albo na korytarzu, albo w piwnicach”.

Z kolei rodzice spotykali się przy tradycyjnej kawie z ciastkiem, tocząc żywe rozmowy i trochę też plotkując:

Pani Alicja: „Spotykałyśmy się na kawę z sąsiadkami. Jak się zebrałyśmy, to był już babinec. Miałyśmy ustalone dni. Z jedną sąsiadką spotykałam się w poniedziałki, z inną pod koniec tygodnia. Od czasu do czasu człowiek wypił lampkę wina. Opowiadałyśmy różne rzeczy. Była sąsiadka, która wcześniej mieszkała na wsi i opowiadała nam, jak tam wygląda życie”.

Mieszkanka Rakowca przy kościele na Dickensa: „Dzieciaki chodziły do szkoły. Byłyśmy młode i bardzo się zaprzyjaźniłyśmy z sąsiadką. Byłam zaprzyjaźniona z dwoma rodzinami. Chodzili-



Przedstawienie z okazji Dnia Dziecka zorganizowane przez Dom Społeczny „Rakowiec”, 1977 r.

śmy do siebie na imieniny, urodziny, na herbatki zimową porą i od czasu do czasu kolacyjki organizowaliśmy. Czasami panowie grali w karty, a my w tym czasie szłyśmy na miasto, a jak wróciłyśmy, to przygotowywałyśmy kolację”.

Podczas wspólnych rozmów poruszano też tematy związane z pracą, rodziną, szkołą, o czym opowiada pani Anna: „Były rodziny, z którymi się często spotykaliśmy. Nie plotkowaliśmy dużo podczas tych spotkań. Przede wszystkim wtedy był inny obieg informacji. Głównie opowieści na temat pracy, ale nie tylko. Jak dzieci poszły do szkoły, to rozmawiało się o sprawach szkolnych. Na pewno było też coś takiego jak koloryzowanie. To dziś mówimy o tym, że nie mamy pieniędzy. Wtedy takich rzeczy się nie mówiło, choć wiedzieliśmy, że niektórzy z naszych znajomych żyli bardzo skromnie. Pamiętam, że polecałiśmy sobie konkretne sklepy. Jak ktoś miał gdzieś znajomości, to dokładnie polecał np. blondynkę, która sprzedawała w sklepie za ladą. Od niej można było kupić coś extra. Dzieliłiśmy się kontaktami”.

Jak twierdzi pani Alicja, życie sąsiedzkie na Rakowcu robiło wrażenie także na przyjeźdźnych: „Moja siostra bliźniaczka przyjeżdżała z Rzeszowa i mówiła, że tam jest dużo mniejsze miasto, ale takich serdecznych relacji między ludźmi nie ma. U nas był dom otwarty, każdy sobie przychodził, kiedy chciał. Odwiedzaliśmy się, wszyscy sąsiedzi mieszkający tutaj dookoła. Komuś zabrakło cebuli, to szedł do Romana. On zawsze wszystko miał, bo cały czas gotował. Świetnie gotował!”. Dla pani Alicji dobrym pretekstem do spotkania i wspólnego spędzania czasu z sąsiadami były też imieniny czy powitanie Nowego

Roku: „Kiedy przychodziły imieniny albo święta, to rozstawialiśmy stół, żeby wszyscy sąsiedzi się zmieścili. Jeśli zapowiedzieli się inni członkowie rodziny, czy koledzy z pracy od męża, to się robiło drugie, a nawet trzecie posiedzenie. Śmiałyśmy się zawsze, że od Andrzeja do Barbary trwały imieniny i od Alicji do Lucyny”. Ciekawy okres przypadał zaraz po świętach Bożego Narodzenia. Miał on – wśród sąsiadów pani Alicji – nawet swoją specjalną nazwę: „Jak były święta to dosłownie wszyscy sąsiedzi, sześć mieszkań się u nas zbierało. Mój mąż robił bigos, który każdemu w słoiczku trzeba było podarować. Marysia robiła rybkę. Święta się kończyły i już zaraz witaliśmy Nowy Rok. Sylwester był na korytarzu. Wszyscy wychodzili na klatkę, składaliśmy sobie życzenia, tańczyliśmy. Wysuwało się adapter z mieszkania i grała muzyka. Zresztą po świętach też się spotykaliśmy, kiedy zawsze zostało każdemu trochę ciasta. Śmiałyśmy się i nazywałyśmy ten okres oświąt. Zapraszaliśmy wtedy do siebie na oświąt. To było taki neologizm” wspomina pani Alicja.

Jednak według wspomnień niektórych mieszkańców na Rakowcu atmosfera wzajemnej życzliwości nie była świątecznym wyjątkiem.

Pani Katarzyna z ul. Grzeszczyka: „Jak byliśmy mali, to ciągle siedzieliśmy u siebie w domach. Moje dziecko też tak wychowywałam. Do moich rodziców też sąsiedzi czasami przychodzili. Mama miała takie sąsiadki, które przychodziły na kawkę i herbatkę. Byli też bliżsi sąsiedzi, którzy przychodzili na kolacje, coś tam nawet razem śpiewali. Ale była też duża solidarność. Pamiętam, jak tu mojemu tacie dużego fiata kradli

„i wyprowadzili go nawet do końca ulicy, to z pół bloku goniło tych złodziei i ich złapali! Jak byłem dzieckiem, to pamiętam, że swój swego nie ruszył, żeby nie wiem, co się stało. A teraz nie ma żadnej etykiety, moralności i tego mi tu brakuje. Sama wieczorem czuję się trochę niepewnie, gdy wracam po ciemku. Kiedyś się wszyscy znali, była atmosfera wręcz rodzinna, pomagaliśmy sobie dużo. Jak dozorca z naszego bloku zginął tragicznie, to ludzie tak to przeżywali, że cały blok był na pogrzebie. Była bardziej rodzinna atmosfera: młodzież się znała, rodzice się znali”.

Okazją do okazania sąsiedzkiej życzliwości była też pomoc przy rozwiązywaniu codziennych trudności, np. przy zakupie podstawowych towarów.

Pani Anna z ul. Jankowskiej: *„Na pewno była życzliwość międzyludzka. Jak sąsiadka wiedziała, że na dołku są, dajmy na to jajka, to zapukała i powiedziała: »niech pani idzie, są jajka«. Pamiętam również, jak ktoś zapukał, żeby powiedzieć, że na ul. Odyńca można kupić doby żółty ser”.*

Pani Katarzyna z ul. Grzeszczyka: *„Sąsiad potrafił do mamy zapukać: »papier toaletowy na Dickensa rzucili«, więc ona pędem. Te trudności pod względem zaopatrzenia też ludzi bardzo zbliżały”.*

Na inny typ więzi międzyludzkich zwraca uwagę pan Sławomir z ul. Pruszkowskiej. Jak przypomina, ważną rolę w ich tworzeniu odgrywały



Przedstawienie z okazji Dnia Dziecka zorganizowane przez Dom Społeczny „Rakowiec”, 1977 r.

wydarzenia organizowane przez mieszkańców i pracowników lokalnych instytucji, np. Domu Społecznego „Rakowiec”: *„Nad stawem były różne festyny, które organizowała m.in. spółdzielnia. Była modelarnia w takim starym bloku i odbywały się różne pokazy modeli na uwięzi, modeli pływających. Na pewno była większa integracja ludzi. Nie wiem, skąd to się brało. W latach 60. i 70. ludzie byli ze sobą jakoś bliżej”.*

Są też tacy, którzy wspominają życie sąsiedzkie i relacje międzyludzkie na Rakowcu przez

pryzmat konkretnych osób. Mieszkaniec z ul. Mołdawskiej wspomina przykładowo dwie mieszkające kiedyś obok niego sąsiadki: *„Tutaj po sąsiedzku były takie dwie panie: Stasia i Fela. Jedna była krawcową, a druga – starsza pani – zajmowała się kuchnią. Ta pierwsza była bardzo dobrą krawcową. Same aktorki przychodziły do niej. Była bardzo zajęta pracą, ale w święta Bożego Narodzenia przychodziła i zapraszała nas do siebie”.*



Przedstawienie z okazji Dnia Dziecka zorganizowane przez Dom Społeczny „Rakowiec”, 1977 r.

SKLEPY

Jedną z większych zmian obserwowanych przez mieszkańców Rakowca był rozwój handlu i usług na osiedlu. Jak wynika z najwcześniejszych wspomnień naszych rozmówców, początkowo sklepów było niewiele. Z czasem powstawały kolejne pawilony. Dzięki temu można tu było kupić wszystkie produkty pierwszej potrzeby, a także skorzystać z usług fryzjera czy szewca.

Pani Inka z ul. Sanockiej: „Jedyny pawilon na początku to był ten blisko ulicy Żwirki i Wigury. Tam był spożywczy. Był tu też kiosk i warzywniak. Potem powstały pawilony na Pruszkowskiej. Był mięsny, spożywczy i przemysłowy, a na górze – usługi. Tam od zawsze był szewc i zegarmistrz. Później wybudowali kolejne pawilony. Na



Pawilony handlowe na ul. Pruszkowskiej



Pawilony handlowe na ul. Stefana Bałeya

dole była świetna księgarnia. I był taki sklepik mydło i powidło. I to był chyba pierwszy sklep na Rakowcu! A bliżej Sanockiej była kawiarenka Jagusia, ale nie było to sympatyczne miejsce. Omiątałam ją szerokim łukiem”.

Doceniane były małe osiedlowe sklepiki, gdzie można było kupić oranżadę czy garść kiszzonej kapusty, o czym opowiada pani Irena z ul. Bałeya: „Jeszcze był pawilonik u pani Sobolewskiej. Jaka tam była dobra kiszona kapusta! Oranżada! Chleb można było kupić. Najfajniejsze było, jak dzieciak był chory i szło się do przychodni, to zawsze trzeba było wejść i kupić gumę do żucia”.

Sklepy były nie tylko miejscem, w którym robiono zakupy, ale – ze względu na niejedno-

krotnie wielogodzinne oczekiwanie w kolejce – stanowiły miejsce spotkań towarzyskich.

Pan Sławomir z ul. Pruszkowskiej: „W tym miejscu, gdzie jest teraz kawiarnia, była pasmanteria. Obok był sklep drogerijny, potem warzywniczy, rzeźnik i kiosk ruchu. Pamiętam, że chodziłem z mamą do tego rzeźnika i tam zawsze się siedało pod oknem. Mamy stały w kolejce, a dzieci siedziały pod oknem. Podobne sklepy były na rogu ulic Trojdena oraz Żwirki i Wigury. Tam był pawilon podzielony na części. W jednej była drogeria, w drugiej sklep spożywczy”.

Pani Katarzyna z ul. Grzeszczyka: „W latach 70. czy 80. to mieliśmy jeden Społem. Tam, gdzie dziś jest wybudowane nowe osiedle, stał pawilon. Na górze był fryzjer, na dole – duża drogeria, a na rogu sklep spożywczy Społem. Potem przy ulicy Sączockiej powstał piekarniczy, więc w Wigilię leciało się o piątej rano i stało się ze trzy godziny w kolejce, albo i dłużej, ale było bardzo wesoło w tej kolejce – sami znajomi. Obok piekarni był sklep papirniczy. Drugi był na ulicy Dickensa. Tu się zaopatrywaliśmy w przybory szkolne. No i chodziło się na ulicę Mołdawską – tam, gdzie ostatnio wyburzono pawilon był sklep rzeźniczy. No to też matka tam nogi wystąpiła z tymi kartkami. I na Dickensa też był rzeźniczy i sklep sportowy. Tu był też zawsze kiosk ruchu – dziadek tam chodził codziennie po gazetę”.

Mieszkanca Rakowca z ul. Mołdawskiej: „Przed Bożym Narodzeniem czy sylwestrem były zawsze kolejki po pieczywo – tu w piekarni, gdzie teraz są Berbersowskie Ogrody. Tam zawsze były spotkania – wszyscy się umawialiśmy na tę samą godzinę. I sta-



Sklepy w budynku wybudowanym w miejscu dawnej piekarni u zbiegu ul. Raclawickiej i Mołdawskiej



Sklepy w budynku wybudowanym w miejscu dawnej piekarni u zbiegu ul. Raclawickiej i Mołdawskiej

liśmy sobie, i rozmawialiśmy, także to było też miejsce spotkań towarzyskich. Rodzice byli zajęci innymi przygotowaniami, a dzieciaki miały za zadanie kupić chleb. Piekarnia była mniej więc na wysokości Biedronki, a kolejka sięgała dzisiejszego bazaru – zakręcała w ulicę Mołdawską. Dalej w pawilonach był z kolei mięsny i tam też były ogromne kolejki. Mogłam z okna sprawdzać, czy stoją już wieczorem”.

Wielu mieszkańców wspomina właśnie piekarnię, która mieściła się u zbiegu ulic Racławickiej i Mołdawskiej. Dzięki piekarni na osiedlu roznosił się piękny zapach.

Pani Anna z ul. Jankowskiej: *„Tu, gdzie są teraz Berberysowe Ogrody, to stała piekarnia – coś wspaniałego w sensie zapachu na osiedlu, piękny zapach świeżo pieczonego chleba. To zawsze będzie mi się kojarzyć z Rakowcem. Tu po prostu po najlepszym, sycącym niedzielnym rosale, jak*



Bazarek przy ul. Mołdawskiej



Bazarek przy ul. Mołdawskiej

się wychodziło, to chciało się jeść. Pamiętam, jak jedna z koleżanek poprosiła mnie, żebym odebrała jej siedmioletniego syna ze świetlicy na Siemińskiego, więc ja go przyprowadziłam, dałam mu obiad i miałam go odprowadzić i tak też zrobiłam. I jak szliśmy do Pruszkowskiej, to on mówi tak: »Ciociu, jak będę duży i będę zarabiał, to sobie kupię strasznie dużo chleba«. Dzisiaj jest profesorem na Harvardzie i czasem mu o tej naszej rozmowie przypominam”.

Istotną rolę odgrywały też bazarki. Najpierw tzw. bazar Banacha, a później również bazarek zlokalizowany przy ul. Mołdawskiej.

Pani Katarzyna: *„Jeśli czegoś nie było tutaj blisko, bo nie było tak dużo sklepów, jak teraz na Pruszkowskiej, było może sześć, to jechało się na Halę Banacha, gdzie wszystko można było dostać”.*

Mieszkanca Rakowca z ul. Korotyńskiego: *„Kłopotu tu z zakupami nie miałam. Jak coś było potrzebne, to na bazar na Banacha się jeździło. Ja mieszkam na Korotyńskiego, to mam blisko. Nawet na spacer jak szłam, to po drodze coś kupowałam”.*

Mieszkanca Rakowca z ul. Dickensa: *„Na Banacha był wspaniały bazar. Nie taki zmodernizowany jak teraz, tylko normalnie chłopci przyjeżdżali wozami albo samochodami ze swoim towarem. Nie było żadnych problemów. Wszystko tam można było kupić. W samej hali były mięsa, wędliny, a na bazarze warzywa, owoce. Zresztą niektórzy to i wędlinę sprzedawali z samochodu. Zakupy były idealne. Ode mnie to jeden przystanek. Do dzisiaj tam robię zakupy. Przeważnie chodzę tam na piechotę”.*

PRZYCHODNIE

W życiu osiedla dużą rolę pełniły instytucje użyteczności publicznej. Szczególnie ważne były te związane z opieką medyczną. Pracowali w nich znani i szanowani na Rakowcu lekarze. Jednym z nich był słynny lekarz pediatra – Tadeusz Drózdź, którego wspomina pani Katarzyna z ul. Grzeszczyka: „Do przychodni chodziliśmy na ulicę Jankowską. Jeszcze jak byłam dzieckiem, a potem jako matka ze swoim dzieckiem. Zawsze szukałam pomocy u słynnego doktora Drózdźa. To był taki człowiek, do którego wszyscy chcieli się dostać”. Z usług rakowieckich przychodni korzystało wiele pokoleń mieszkańców.

W tej samej przychodni leczyła się wraz z rodziną pani Inka z ul. Sanockiej: „Tu bliżej była okropna przychodnia, dlatego córkę zapisałam na Jankowską. Ta była rewelacyjna! Dla dzieci była najlepsza na świecie. Tam była wspinała doktor pediatra, która kiedy moja córka była chora, żeby jej nie ciągać na drugi koniec osiedla, z własnej inicjatywy do mnie do domu przychodziła”.

Mieszkanka Rakowca z ul. Dickensa: „Od kiedy się tylko tutaj sprowadziłam, korzystałam z opieki medycznej na Rakowcu. Najpierw mieliśmy lekarza na Opaczewskiej, a potem tutaj za stawem w przychodni na ulicy Sanockiej”.

Inni mieli przychodnię bardzo blisko, nieraz dosłownie pod oknem swojego bloku, co ułatwiało korzystanie z opieki lekarskiej.

Pani Anna z ul. Jankowskiej: „Przychodnia była po drugiej stronie mojego domu. Ten stary, dzisiaj już opuszczony budynek. Moje dziecko, które urodziło się w 1971 roku, leczyło się w niej od samego początku”.

Pani Danuta z ul. Baley: „Najpierw przychodnia nie była tak blisko. Trzeba było iść do Pruszkowskiej. Później była tu na Jankowskiej. Byłam wtedy szczęśliwa, że tak blisko mam. Nie musiałam się wcześniej zapisywać”.

KOMUNIKACJA PUBLICZNA

■ Rakowiec według większości mieszkańców do dziś jest dobrze połączony komunikacyjnie z centrum Warszawy. Jednak lata 70. i 80. minionego wieku to okres, kiedy natężenie ruchu było dużo mniejsze niż dzisiaj. Jazda autobusem przebiegała płynnie, a dojazd do potrzebnego miejsca był szybki. Wystarczyło 15 minut, aby dotrzeć rano do pracy.

Pani Alicja: „Mnie się bardzo podobała komunikacja. Pamiętam, że do Dworca Centralnego bez korków jechałam 7 minut, na Dworzec Zachodni czy na lotnisko podobnie. Do pracy jeździłam autobusem 188, nazywałam to drogą przez mękę. Na początku, gdy zaczęłam dojeżdżać do pracy, miałam idealny dojazd. Otworzyli właśnie Trasę Łazienkowską, to było 22 lipca w 1974 roku. A ja 1 września zaczynałam pracę w szkole. Trasa była bezkolizyjna. 15 minut zajmował przejazd na drugą stronę Wisły. Przejeżdżałam Wałem Miedzeszyńskim, w Zwycięzców do Liceum im. Bolesława Prusa. Wychodziłam z domu o 7:10, a na miejscu często byłam już o 7:30. Niestety, z czasem zaczęły się robić korki, ale nie tak duże, żeby nie można było wytrzymać”.

W opowieściach nasi rozmówcy wspominają też zmieniającą się lokalizację pętli autobusowych. Niektórzy do dziś pamiętają numery autobusów, które zaczynały na nich swój bieg.

Pani Inka z ul. Sanockiej: „W latach 70. przenieśli nam tu pętle. Były tu autobusy: 128, 172, 188 wprowadzili też 157. I stały tutaj z zapalonymi silnikami, to było potworne. Nie było wiadomo, kto pierwszy ruszy. Jak jeździłam do liceum Słowackiego na ulicę Wawelską, wszystkie mi pasowały i pamiętam, że biegałam tylko między autobusami, bo nie było rozkładów. I tylko słuchało się, który zawarczał. W tych autobusach był ścisk jak w pudełku sardynek. Czasami nie dało się wysiąść”.

Mieszkanca Rakowca z ul. Mołdawskiej: „Pętla autobusowa była na Korotyńskiego. Jeździło z niej kilka autobusów. Jednym z nich dojeżdżałam do szkoły - do liceum. Nie było problemu z dojazdem. Wszędzie, gdzie człowiek chciał dojechać, mógł w miarę szybko dotrzeć na miejsce. Nawet jak na uczelnię jeździłam potem, to dosyć sprawnie autobus pokonywał trasę”.

KAWIARNIE, RESTAURACJE

■ Kawiarni czy restauracji działających na Rakowcu nie było wówczas wiele, ale wspomnienia o tych, które istniały, zachowały się w pamięci mieszkańców:

Pani Hanna: „Tu przy ulicy Baleya była kawiarenka, która przeistoczyła się w sklep spożywczy, a szkoda. Ja tam czasami chadzałam w niedzielę. To była taka prawdziwa kawiarenka. Mnie to się bardzo podobało, że w niedzielę, przed kościołem mogłam sobie tam pójść i wypić kawę. Czy jak czekałam na męża czy kogoś innego, to sobie siadałam w ogródeczku. Były tam też doskonałe ciasta. Z kolei na placu Pod Skrzydłami była zupełnie przyzwoita restauracja. Orkiestra grała. Byłam tam na dancingu z chłopakami z pracy. Byłam wtedy w zaawansowanej ciąży! Myśmy pracowali na ulicy Bakalarskiej – tu, gdzie jest teraz bazar – i jak wyszliśmy z pracy, to mieliśmy tam niedaleko. Zupełnie fajnie tam grali”.

Te same miejsca wspomina pani Danuta z ul. Baleya: „Była kafejka na ulicy Baleya. Stały w niej wysokie stoły i można się było napić kawy czy zjeść ciastko. Tylko wejść, wypić i wyjść. Natomiast tam, gdzie jest plac Pod Skrzydłami była restauracja. Tam się chodziło potańczyć”.

Z kolei mieszkanka Rakowca z ul. Mołdawskiej poza kafejką na ul. Baleya opowiada o barze

Ikar, który znajdował się w budynku u zbiegu ul. Raławickiej i Żwirki i Wigury: „W Kafejce na Baleya można było kupić bardzo dobre lody – takie z automatu. I takie pudrowe cukierki, ale wieczorem była tam inna grupa klientów – raczej piwoszy. A tu gdzie dziś jest market był bar Ikar. Raz tam byłam z tatą na obiedzie, pewnie dlatego, że mama nie mogła tego dnia nic ugotować. Zjedliśmy ten obiad, ale bez sałaty”. Choć bar Ikar nie cieszył się szczególnym powodzeniem wśród osób, z którymi rozmawialiśmy, to – jak wspomina pani Irena z ul. Baleya – „buraczki tam były pyszne”.

KOŚCIOŁY

Ważnymi miejscami na Rakowcu były i są kościoły. W ich powstanie zaangażowani byli mieszkańcy. Wysiętek społeczności lokalnej, problemy, z jakimi musiano się zmierzyć, aby świątynie powstały, stanowiły wielokrotnie istotny element wspomnień i opowieści o osiedlu. Ci, którzy mieszkają tu najdłużej, pamiętają, że na miejscach dzisiejszych kościołów stały początkowo baraki. Mieszkańcy wspominają z tamtego okresu msze „pod chmurką”. Istotnymi postaciami, o których opowiadają są też proboszczowie parafii, których docenia się za zaangażowanie w tworzenie świątyń.

Mieszkaniec Rakowca z ul. Mołdawskiej pamięta jeszcze ten czas, kiedy kościoła przy ul. Gorlickiej nie było: „Tu, ten teren, gdzie jest kościół, to był pusty plac. Początkowo miał tu stanąć budynek handlowy, ale podczas jednej z procesji postawili tu krzyż. Jak postawili krzyż, to po dwóch czy trzech latach okazało się, że będzie budowa kościoła. Najpierw msze były na wolnym powietrzu. Ksiądz odprawiał je przy stole”.

Mieszkanica Rakowca z tej samej ulicy, która w latach 70. zeszłego wieku była jeszcze dzieckiem, wspomina z kolei, że teren, na którym dziś stoi kościół, był atrakcyjnym miejscem jej zabaw: „Tam, gdzie jest teraz kościół na ulicy Gorlickiej, tam był plac zabaw. Zanim to był plac

zabaw, to rosły drzewa owocowe. To było świetne miejsce do zabaw, a że to było blisko mojego domu, to wszystkie drzewa tam znałam. No i można było owoce zrywać. Później przez chwilę były tam jakieś huśtawki dla dzieci”.

Pani Inka – dziś mieszkanka ul. Sanockiej, kiedyś wraz z rodziną mieszkała przy ul. Korotyńskiego, z tamtego czasu wspomina spacerować z córką do budowanego wówczas kościoła na ul. Gorlickiej: „Chodziłyśmy z córką na spacerować na osiedle Gorlicka, które wtedy było pełne zie-



Kościół pw. Zwiastowania Pańskiego, ul. Gorlicka



Kościół pw. Zwiastowania Pańskiego, ul. Gorlicka

leni, nie było zabudowane nowymi budynkami. Zamiast kościoła stała zwykła budka. A potem ten kościół był w budowie. Moje dziecko to uwielbiało. Najlepszą rozrywką było pójście do kościółka, zobaczyć co wybudowali nowego. Msze odbywały się w plenerze. Nabożeństwa dla dzieci były rewelacyjne. Dawny proboszcz – ksiądz Witold je prowadził – i robił to bardzo dobrze. Jak jeszcze nie było wybudowanej górnej części kościoła, tylko sam dół był zrobiony, to już było bardzo dobrze nagłośnione. Pamiętam, że jak z wózkiem przychodziłam, to mogłam stać na zewnątrz i wszystko słyszeć. Ponieważ budowa była w toku, dookoła leżały materiały budowlane i dzieci w tym składzie biegały. Rodzice stali i spokojnie się temu przyglądali. Pamiętam jeszcze, że ten ogród przy kościele, to sam ksiądz

Witold własnymi rękami robił. Kopał, sadził, prosił o sadzonki”.

Kiedy kościół już powstał, poza miejscem modlitw stał się też miejscem, w którym działały różnego typu grupy, niekoniecznie religijne. O jednej z nich opowiada mieszkanka Rakowca z ul. Mołdawskiej, która należała do klubu turystycznego: „W latach 80. przy kościele na Gorlickiej był klub turystki kwalifikowanej. Młodzież, która była w klubie, żyła w tej grupie trochę poza tym, co działo się na osiedlu. Mieliśmy wyjazdy, biwaki – trochę podobnie do harcerstwa. Kościół był dla mnie takim miejscem spotkań młodzieży. Ten kościół nas trzymał razem”.

W powstanie świątyń na Rakowcu zaangażowani byli mieszkańcy. Wiele opowiedzianych historii dotyczyło różnego typu form wsparcia udzielonego przez nich księżom w trakcie tworzenia kościołów. Przykładowo mieszkańcy zbierali środki finansowe, ale też – wykorzystując swoje możliwości w zakładach pracy, jak np. żona jednego z naszych rozmówców pracująca w Polamie – pomagali w zgromadzeniu materiałów niezbędnych do budowy świątyń, a także w ich transporcie.

Pani Inka opowiada o powstawaniu kościoła przy ul. Dickensa: „Kościół na ul. Dickensa powstał absolutnie pracą ludzi. Było to tak zorganizowane, że w latach 70. parafianie opodatkowali się na kościół. Oczywiście to był nielegalny komitet. Na naszej klatce mieszkała pani, która raz w miesiącu obchodziła mieszkania z listą, na której podpisywali się moi rodzice, że dali datkę w tym i tym miesiącu. To było bardzo nie-

bezpieczne. Tam proboszcz siedział w więzieniu! I ta pani była odważna, ale i każdy z nas, kto podpisywał się na tej liście, też był na nielegalnej zbiorce. I tak przez długie lata wielu parafian wspierało budowę. Za to proboszcz kupował materiały, przekupywał urzędników. Podobnie było u księdza Witolda – tylko tam wspierałam aktywnie. On zawsze po mszy dawał »kronikę budowlaną«, to znaczy informacje, ile zebrano i co zostało za to zrobione».

W budowie kościoła miał swoje zasługi również pan Jerzy: „Ksiądz Romuald Kołakowski budował kościół taką metodą gospodarczą. Pewnego dnia ksiądz, który wiedział, że mam takie umiejętności ze względu na wykonywany wtedy zawód, poprosił mnie, żebym zbudował wózek, bo nie było jak szyn przewieźć na plac budowy. To były duże pięciometrowe szyny, szerokie na 15 centymetrów. Wykorzystałem koła od taczek, ramę zrobiłem prowizoryczną, ale porządną. Pomagali przy tym spawacze. Pamiętam, że potem ten wózek jeszcze długo służył budowlącom – nie tylko do przetransportowywania szyn, ale na przykład do przewożenia cegieł i cementu».

Szczególnie barwne są wspomnienia mieszkańców pamiętających problemy związane z budową kościoła na ul. Dickensa. Nie tylko pomagali oni w budowie, ale bronili go również w trakcie prac budowlanych przed rozbiórką.

Wiele z tych wydarzeń zapamiętała mieszkanka Rakowca, która od ponad 40 lat mieszka w bloku przy kościele: „Jak jeszcze kościoła nie było, to była kapliczka. W kapliczce odprawiano msze, a raczej to przed kapliczką wszyscy stali. Z okien

słyszałam i widziałam całe nabożeństwo. Chodziło o to, żeby zamiast kapliczki powstał prawdziwy kościół, ale z tego co wiem problem polegał na tym, że Rada Narodowa Warszawy dawała zezwolenie na budowę kościoła, a dzielnicowa wstrzymywała. Jak tylko zaczynano budować, to przyjeżdżali i chcieli to zburzyć. Ksiądz proboszcza zamknęli na kilka miesięcy za to, że bez zezwolenia budował. Mieszkańcy bronili tego miejsca. Mieliśmy system ostrzegawczy. Moja koleżanka, sąsiadka z piętra niżej, która śpiewała w chórze, była zaprzyjaźniona z siostrami i księżmi. Oni dzwonili do niej, że coś się dzieje, że przyszli burzyć. To ona oddzwaniała do następnej sąsiadki i tak kolejno. Momentalnie schodziło się bardzo dużo kobiet i przeszkadzały, kładły się, siadały i nie pozwalały na rozbiórkę. Mężczyźni nie protestowali, bo baliśmy się, że ich pozamykają, a kobiet nie ruszali. No, ale to i tak



Kościół pw. Opatrzności Bożej, ul Dickensa

wstrzymywało budowę, trzeba było odczekać. Jak już na poważnie ruszyła budowa, to w mieszkaniu pode mną, w którym mieszkał milicjant, MO zrobiło sobie bazę. Wstawili różne sprzęty. Na klatce schodowej okno otworzyli i siedzieli z lornetką, i obserwowali, przekazywali informacje, co się dzieje na budowie. Na początku, kiedy wracałam do domu, to musiałam dowód nosić przy sobie, żeby pokazać, że tu mieszkam, bo nie pozwalali wchodzić obcym. Nawet jak ktoś się zatrzymał na chodniku, to odpytywali, a po co. Ludzie pomagali w budowie. Mąż mojej koleżanki z klatki obok jeździł wywrotkami, woził na budowie piach, więc jak trzeba było piachu, to on organizował i w miarę to, co było potrzebne, to przywozili. No, a w soboty to każdy szedł pomagać. Fizycznie wszyscy pracowali. Prócz tego raz w miesiącu w każdym bloku była zbiórka pieniędzy i dawaliśmy, ile kto mógł. Chodziła jedna z pań z bloku i zawsze co miesiąc przekazywałam jakąś stałą sumę. Listę miała i wpisywała. Te zbiórki trwały przez dwa czy trzy lata, a później, jak już urządzali wnętrze kościoła, to ksiądz ogłosił zbiórkę na organy. Sprowadzili je z Niemiec. Na jednej z piszczałek jest moje nazwisko, jako darczyńcy”.

Z kolei inżynier z ul. Trojdena wprost nazywa zmagania wiernych i księdza walką: „To była walka! Zaczęło się od tego, że kościół postawił sobie barak na terenie przedszkola, które jest obok. Nie wiem, czy przejął ten teren za zgodą czy w porozumieniu z przedszkolem. W każdym bądź razie oddzielili ten teren. W tym czasie przy Siemieńskiego był mały drewniany baraczek i w środku poświęcony ołtarz. Msze odbywały się przed tym ołtarzem. Trochę ludzi mieściło

się w tym baraczk, a większość wiernych stała na placu przed nim. Ówczesnej władzy to się nie podobało, więc postanowili zlikwidować tę oazę świętości i przydzielić z powrotem do przedszkola. Chcieli rozebrać barak. I tu się zaczęło. Ksiądz proboszcz Kołakowski miał ciągłe problemy za to, że podburzał wiernych do obrony tego baraku. Miał tych, którzy służyli do mszy i zawsze, jak coś się działo, to cynk dawali ludziom, że milicja przyjechała i chce rozebrać barak. Przeważnie to kobiety były najlepiej zorganizowane – nie wiadomo skąd kupa kobiet zjawiała się na tym terenie i biły się z milicjantami. Ja też dostawałam wiadomość, że się biją. Z mężczyznami było gorzej, bo ich chętniej aresztowali, dlatego główna siła była po stronie kobiet. One nic nie dawały rozebrać. Milicjanci byli bezradni. Nie wiadomo skąd, a już była kupa ludzi. Co milicja przyjechała, to nic nie mogli zrobić, bo za dużo awantury. W końcu ksiądz Kołakowski ogłosił wszystkim, że dostali zgodę na projekt kościoła, ale nie było pieniędzy, więc ludzie zaczęli się sami zgłaszać do pomocy. Fachowcy, rzemieślnicy, cieśle – i zaczęli budować wspólnie kościół. Przychodzili po pracy i budowali. W czasie kazania kierownik ogłaszał, jakie mają zapotrzebowanie w danym tygodniu: czy cieśli, czy lastrykarzy i w ten sposób zgłaszali się fachowcy, a materiał budowlany kupowano ze zbiórki pieniędzy”.

PARKI

Wiele osób, kiedy mówi o Rakowcu, podkreśla, że to osiedle pełne zieleni. Być może wśród drzew tu rosnących są jeszcze te, które, zgodnie ze wspomnieniami męża pani Katarzyny, posadzili nocujący tu w miasteczku namiotowym latem 1955 roku uczestnicy V Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie. Jak opowiada nasza rozmówczyni: „Každy



Blok przy ul. Księcia Trojdena, 1967r.

przyjeżdżający ze swojego kraju miał obowiązek przywieźć ze sobą jakieś drzewko. Mąż był na tym zjeździe i opowiadał, że te różne ładne drzewa zostały posadzone przez tych uczestników”.

Do zazielenienia osiedla przyczynili się też sami mieszkańcy, na przykład pan inżynier z ul. Trojdena: „Przez cztery lata byłem przewodniczącym rady kolonii i w tym czasie były organizowane osiedlowe konkursy na zieleń. Przyznam, że niektóre drzewa sam tu sadziłem i to na całym Rakowcu. Na przykład przy Pruszkowskiej obok pawilonu handlowego rośnie kasztan – to ja go posadziłem, on był taki malutki. To samo w parku im. Malickiego przy tym jeziorku. Za moim oknem widzi pan trzy drzewka. Przywiozłem je rowerem z Pola Mokotowskiego. Tamte drzewa to były takie szczeniaczki. To było 40 lat temu. A tam dalej są bzy. Położyli tutaj krawężniki, było goło, więc sobie pomyślałem, że będzie ładnie”.

W zebranych wspomnieniach nasi rozmówcy bardzo chętnie podejmowali tematy dotyczące spędzania czasu na świeżym powietrzu, a szczególnie w parkach. Okazało się przy tym, że ważnymi miejscami rekreacji dla mieszkańców Rakowca były nie tylko te parki, które (do dziś) są zlokalizowane na osiedlu, jak tzw. Górki – czyli Fort Korotyńskiego, czy położony w centrum osiedla park im. Zastawa Malickiego, ale

również park przy Cmentarzu Mauzoleum Żołnierzy Radzieckich oraz Glinki, czyli park Szczęśliwicki.

W tym ostatnim parku korzystano z kąpielni w sadzawkach powstałych po wyrobisku gliny oraz w basenach. Dla mieszkanki z ul. Dickensa park Szczęśliwicki do dziś jest ulubionym miejscem spacerów: „Jak powstał park na Szczęśliwiczach, to tam też często chodziłam z dziećmi. Latem, kiedy już nie mieli lekcji w szkole, chodziłam z nimi na basen. Tam się grosze płaciło za całą dzień. Braliśmy sobie kanapki, picie i oni sobie tam pływali. Do dziś to dla mnie ulubione miejsce. Potem też chadzałam tam na spacer z wnukiem”.

O swoich wyprawach na Szczęśliwice opowia-

da też mieszkaniak Rakowca z ul. Mołdawskiej, który spędzał tam czas z żoną i przyjaciółmi: „Kiedy mieszkałem na Dickensa, to miałem sąsiadów w swoim wieku i letnią porą myśmy sobie chodzili na Glinki na Szczęśliwiczach. Sadzawki były bardzo głębokie. Dookoła była trawa i graliśmy w siatkówkę”.

Pani Danuta z ul. Baley poza kąpielami w glinach, korzystała też z nieistniejących już basenów Gwardii przy ul. Racławickiej – tak je wspomina: „To było takie miejsce, gdzie się chodziło opalać i pływać. Był duży basen i tam odpoczywaliśmy. Była tam też opieka medyczna w razie jakby się komuś coś stało. Było bardzo fajnie i ni stąd, ni zowąd przestało to działać. To było dla nas miejsce wypoczynku, chodziło się w sobotę i w niedzielę. Puszczali jakieś melodie”.



Park „Górki”, Fort Korotyńskiego



Park „Górki”, Fort Korotyńskiego



Przy placu zabaw na ul. Grzeszczyka, w tle ul. Korotyńskiego, połowa lat 70-tych XX w.

Drugim parkiem, który, mimo że nie leży w granicach Rakowca, a cieszył się – jak wynika z opowieści – sympatią mieszkańców osiedla, był park wokół Cmentarza Mauzoleum Żołnierzy Radzieckich. Chadzali tam rodzice z dziećmi w wózkach, a także młodzież i dorośli, żeby, na przykład, pograć w badminton. Jeden z rozmówców wspomina, że swego czasu w parku był dozorca, który pilnował porządku.

Pan Sławomir z ul. Pruszkowskiej: „Do parku na spacery chodziło się z mamą albo z babcią. Pamiętam, że był tam dozorca. Wszystkiego pilnował, sprzątał. Poza tym uczniowie przychodzili ze szkół i też sprząkali park. Dzięki temu park był zadbane”.

Inni też dobrze wspominają to miejsce, jako ciche i zadbane.

Pani Anna z ul. Jankowskiej: „Jak urodziło mi się dziecko na początku lat 70., to doceniłam, że mam blisko do parku. Wystarczyło przejść przez ulicę Żwirki i Wigury, żeby znaleźć się w czystym, pięknym parku. Wyłącznie tam z wózkami chodziłam. Wychodziło się parę metrów od Żwirki i Wigury i była cisza, spokój. Były tam piękne drzewa i ładnie to było utrzymane. Inni płakali, że na spacerach muszą chodzić z dziećmi między blokami. U nas nie było tego problemu”.

Mieszkanca Rakowca z okolic kościoła na ul. Dickensa: „Dzieciaki bardzo lubiły chodzić za Żwirki i Wigury na park przy Cmentarzu Żołnierzy Radzieckich. Brali rakiety i grali w badminton. Ale też samym cmentarzem się zainteresowali. Jak było Wszystkich Świętych, to chodzili tam lampki palić”.

Bywali też tacy, którzy, przechodząc przez park przy cmentarzu, zapuszczali się jeszcze dalej – na Pole Mokotowskie.

Pani Alicja: „Park przy Cmentarzu Mauzoleum Żołnierzy Radzieckich wspominam bardzo miło. Dzisiaj nieraz siadam na tej samej ławce, na której siadaliśmy razem z mężem przed jego śmiercią. Pamiętam, że zawsze bardzo dużo ludzi przychodziło do tego parku z psami, z dziećmi w wózkach. Wystarczyło tam wyjść i był już zupełnie inny klimat. W tym naszym parku sadzono mnóstwo drzew i krzewów. Jak się syn urodził, to umawiałam się z koleżankami, które miały dzieci i razem jechałyśmy wózkami do parku.

Czasem też dalej na Pole Mokotowskie”.

Pani Katarzyna: „Na początku to często chadzaliśmy do parku po drugiej stronie ulicy Żwirki i Wigury. Tutaj gdzie są te ławki i ta alejka. Jak dzieci były małe, to kiedy wracałam z pracy i musiałam robić obiad, to mąż brał je właśnie na spacer do parku. W niedzielę wszyscy razem chodziliśmy na Pole Mokotowskie. Tam były zabawy i dzieci mogły się chlapać w wodzie”.

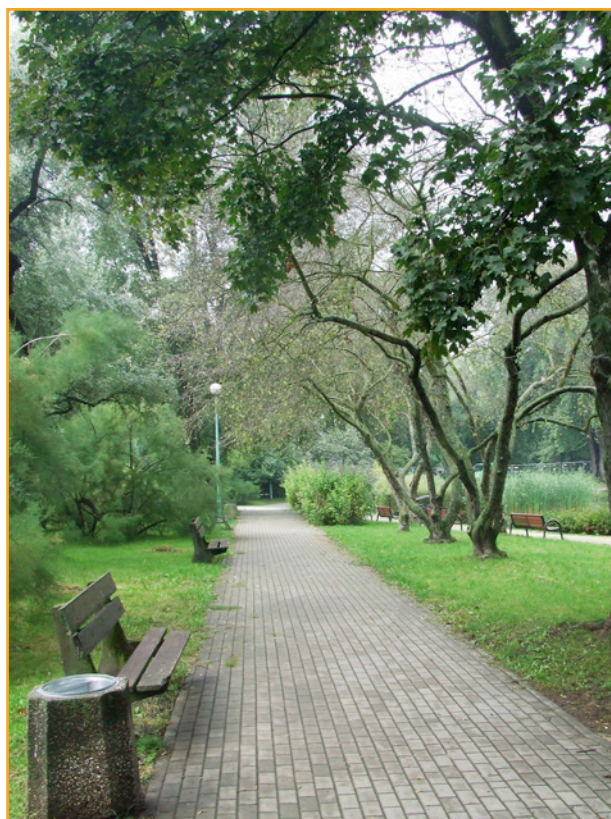
Z kolei dla pani Katarzyny z ul. Grzeszczyka najbardziej ulubionym miejscem na Rakowcu są Górki, które w tamtym czasie ciągnęły się wzdłuż Racławickiej i były miejscem zabaw zarówno latem, jak i zimą, jak wspomina: „Kiedy się tu sprowadziłam, Górki wyglądały dla dziecka znacznie ciekawiej niż teraz. Były totalnie dzikie, nierówne, miały w dwóch miejscach wgłębienia z korytarzami. To było coś fantastycznego! Kryliśmy się tam, w domek się bawiliśmy, a oprócz tego była wielka atrakcja, bo w rowie była fosa, w której pływało tysiące kijanek, pełno żab, ale też było w niej dużo odpadów. To był taki brud śmierdzący, ale dla dzieci to był raj na ziemi. Leżały w niej wielkie betonowe kloce, więc były zawody przeskakiwania na drugą stronę. Mnie tu było lepiej niż w poprzednim miejscu zamieszkania. Górki to jest dla mnie symbol Rakowca. Ja tu rostałam na tych Górkach i do Górek mam wielki sentyment”.

Wiele zebranych wspomnień wiąże się też z drugim parkiem zlokalizowanym w sercu Rakowca – parkiem im. Zastawa Malickiego.

Pani Inka z ul. Sanockiej: „Ten teren w okolicach

parku od samego początku był bardziej zazieleniony, bo tam były resztki parku dworskiego. Tu, gdzie są bloki, były pola, dlatego podwórka były łyse. Tam też był jeszcze ten, jak to mówiono, pałacyk. Chociaż ja nad stawik rzadziej chodziłam, ponieważ miałam koleżanki z tamtej strony ulicy Grójeckiej, więc my chodziłyśmy na Glinianki, na Szczęśliwice, na basen. Jednak pamiętam, że moi sąsiedzi tu przychodzili i się opalali. Można się było też kąpać”.

Z pewnością wśród plażowiczów nad stawikiem bywała pani Alicja, która wspomina: „Jak tylko miałam czas, to w lecie brałam leżak i szłam się opalać do parku nad stawik. Teraz jest tu dużo drzew i krzewów, a wtedy to były takie puste miejsca”.



Park im. Zastawa Malickiego

Nieco później do parku chodziła też pani Irena z ul. Baley: „Kiedy wnuki były małe, to chodziłam z nimi do parku im. Malickiego. Dzieciak się tam wybiegał, policzył kaczki. W drodze powrotnej zachodziło się do cukierenki w pawilonie przy ulicy Pruszkowskiej – tym, w którym jest dziś Biedronka – kupowało się tam ciastko, siadało przy stolikach”.

Z kolei Pani Katarzyna zapamiętała zmiany, jakim podlegał park im. Malickiego przez wszystkie lata, kiedy mieszkała na Rakowcu: „Na początku teren parku nie był szczególnie zadbane. Staw nie miał żadnego odpływu. Powstała rzęsa wodna, po prostu cuchnęło. Nie było krzewów

wokół, ścieżek, którymi dzisiaj się spaceruje. To był staw, powiedziałabym, wiejski. Zupełnie inaczej wyglądał krajobraz. Nie było placu, który jest od jeziorka do strony ulicy Pruszkowskiej. Tam przez długi czas były tylko drzewa i boisko. Pamiętam, że przyjeżdżali tam gracze w piłkę z Okęcia. Oni pili alkohol, hałasowali, dlatego nie siedziło się za dużo nad tym jeziorkiem. No, a z drugiej strony stawiku były ogródki działkowe. Tam jeszcze ludzie mieli swoje chatki. Przyznam, że nie pamiętam dokładnie, kiedy wybudowano tu przedszkole. W każdym razie tam, gdzie były ogródki działkowe, dzisiaj stoi blok i dalej stoi przedszkole. Później cokolwiek było zrobione z jeziorkiem, to bardzo nas cieszyło.



Park im. Zastawa Malickiego

Oczyścili je, posadzili krzewy. Przyleciały ptaki, gęsi. Wiosną i latem w parku, przeważnie nad tym jeziorkiem, rozkładano koce. Inni siedzieli na ławkach i tam gdzieś z boku na górkach grali na przykład w brydża. Tam też się szło na spacer z dziećmi: jedno za rękę, drugie w wózku”.

Pan Sławomir z ul. Pruszkowskiej: „Staw w parku Malickiego był ważnym miejscem dla wszystkich. Przed wojną ten staw był większy. Ludzie pływali tu kajakami. Mam nawet zdjęcie mojej babci z tego miejsca właśnie na kajaku. Stał tam biały domek, którego już nie ma. Tutaj, gdzie jest źródło, to 20 metrów obok był biały domek. Po wojnie to był taki domek techniczny. Trzymano tam siatki i urządzenia do sypania kredy do wysypywania linii na pobliskim boisku. W latach 60. była nawet wypożyczalnia rowerów, składaków. Można było je wypożyczyć na legitymację szkolną. Pamiętam też, że kiedyś były pokazy modeli latających na tym boisku, a na stawie były modele pływające. Podczas pokazów w pogotowiu mieliśmy też ponton, wiadomo, paliwo się nieraz kończyło, a trzeba było dobić do brzegu”.

Podobnymi wspomnieniami na temat metamorfozy, jaką przeszedł park im. Malickiego, dzieli się pan inżynier z ul. Trojdena: „Ten park to nie był park. Po tamtej stronie, gdzie posadzili teraz tyle krzaków, ten ogród, to wszystko było gładkie. To było piłkarskie boisko od samego pocztunku, jak ja się tutaj wprowadziłem 50 lat temu. Tu były mecze. Natomiast tutaj, gdzie jest jeziorko, to była płyta betonowa, gładko – nie było zieleni. Zimą na stawiku robiono lodowisko. Ja na tym lodowisku jeździłem na łyżwach. Na całym jeziorku była gładka płyta. To był czas gierkowski. Wte-

dy postawiono na sport i nie wiem, jakim cudem sprzedawali za pół ceny buty z łyżwami. Ja kupiłem takie półokrągłe, nowiutkie i parę lat tutaj na nich przejeździłem. Były dwie ławki, na których można było usiąść i zmienić buty. Dopiero później wybudowali dwie wysepki. My to obserwowaliśmy, był dojazd i dowozili samochodem ziemię. Posadzili dwa drzewa. Jeszcze się jeździło pomiędzy tymi drzewami. Kto miał wtedy łyżwy to jeździł, parę osób zawsze jeździło. Znajomi z łyżwami przychodzili po mnie. To był najprzyjemniejszy moment zimą. Nawet wodą polewali, żeby wygładzić jeszcze ten teren. To były lata 70. i 80., kiedy żeśmy jeździli. Ale jak potem zasadzili tatarak, to już było coraz mniej miejsca”.

Okazuje się, że lodowiska na Rakowcu – jak wspominają mieszkańcy – były powszechne. Tworzono je a to na boiskach szkolnych, a to na podwórkach przed blokami.

Pani Katarzyna z ul. Grzeszczyka: „Na podwórku obok był wspaniały gospodarz bloku. Tam – dzięki niemu – toczyło się życie towarzyskie. Przykładowo latem wykładał nam szlauchy, którymi mogliśmy się polewać, ganialiśmy w samych majtkach. Zimą zawsze wylewał wodę i tworzył lodowisko i pilnował dzieciaków. Wszyscy się tam po szkole spotykaliśmy – jeździliśmy na łyżwach czasami do nocy”.

Mieszkanca Rakowca z ul. Mołdawskiej: „Na boisku szkolnym było robione lodowisko – wylewano wodę. I na terenie obecnego bazarku przy ulicy Mołdawskiej też było kilka razy wylewane lodowisko. A latem w to miejsce, gdzie teraz jest bazarek, przyjeżdżał czasami cyrk”.

Mieszkanca Rakowca z okolic kościoła na ul. Dickensa: „Zimą na terenie szkoły lodowisko robili. Dozorca wylewał wodę. Mało tego. U nas na podwórku też było lodowisko, jak zima była sroga. Starsza młodzież z pomocą dozorczy wylewała wodę szlauchem. Nawet i ja – choć nie byłam przecież dzieckiem – jeździłam na tym lodowisku”.

Do parków, na spacer po osiedlu chadzało się a to w ciągu tygodnia – na przykład z dziećmi, a to w sobotę. Natomiast niedziela była dniem, kiedy niektórzy wybierali się dalej – do kina, teatru czy na Stare Miasto lub do łazienek Królewskich.



Lodowisko przy ul. Racławickiej 154, w tle górka Szczęśliwicka

Pani Inka: „Myśmy chodzili na spacer po Warszawie. Można było spacerować wzdłuż Żwirki i Wigury. Dużo czasu na podwórku się spędzało. Chodziło się do kina Ochoty. Ochota była bardzo dobrym kinem. Miała dobry repertuar, było wygodnie i blisko”.

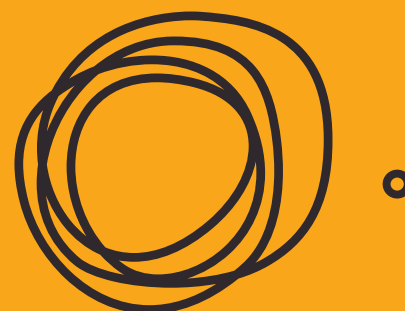
Pani Danusia z ul. Baley: „Niedziela była dniem wolnym to przeważnie albo szło się do parku, ale to rzadko, raczej w sobotę, a w dzień jechało się do miasta. Wtedy to był wypoczynek, to się uważało za wyższy poziom, przykładowo autobusem do Łazienek bardzo często jeździłam. Były spacer”.

Część z mieszkańców spędzała też czas na działkach, których, mimo likwidacji, wiele pozostało w tej okolicy. Jeśli ktoś nie miał działki lub po prostu lubił prace ogrodowe, mógł się zaangażować w zagospodarowywanie terenów wokół bloków, jak czyniła to na przykład mama pani Inki: „Jak urządzaliśmy podwórko, dostaliśmy zaproszenie do udziału w tym wydarzeniu. Mogliśmy np. sadzić drzewka. Pamiętam, że to robiliśmy. Moja mama regularnie pielęła gazon róż. Brała od dozorczy narzędzia i szła pielęć”.



O Autorach

Projekt „Biografie Rakowca” realizowali mieszkańcy Rakowca: **Anna Radiukiewicz** – na co dzień socjolożka, pracowniczka naukowa w Instytucie Studiów Politycznych PAN oraz **Kacper Leśniewicz** – dziennikarz tygodnika „Przegląd” oraz redaktor działu Obserwatorium Społeczne portalu „Nowe Peryferie”.



FUNDACJA
WIEDZA LOKALNA



Fundacja „Wiedza Lokalna” jest organizacją pozarządową, działającą od roku 2010, utworzoną przez socjologów – naukowców i pasjonatów – z chęci niesienia wsparcia instytucjom publicznym i innym aktorom życia społecznego poprzez dostarczanie ekspertyz oraz kompleksowych rozwiązań w dziedzinie badań i analiz społecznych. Z głównymi projektami badawczymi oraz publikacjami Fundacji można zapoznać się na stronie internetowej: www.wiedzalokalna.pl.